

Polska szkoła – dlaczego jest źle i czy może być lepiej?

24 października 2021

Szkoła, szkoła, szkoła... Brr. Już od sierpnia chcące zarobić supermarkety straszą nas oklepanym niczym twarz Najmana „witaniem szkoły”, sklepy kuszą promocjami na zeszyty, rodzice szykują się na wydatki, wydawnictwa już zacierają ręce na sprzedaż kolejnych podręczników, dzieci z ekscytacją szykują białe koszule i tornistry, nastolatki przewracają oczami. Już wybiła znienawidzona przez wielu z nas ósma rano, zaczęły się klasówki, prace domowe, kółka zainteresowań służące głównie nadganiu materiału. Czy tak jednak być musi?

Diagnoza

Wjazd na uniwersytet? Zakorkowany! Szkoła jest niezrównanym reproduktorem wszelkiego rodzaju nierówności społecznych.

Sięgnij, Czytelniczko, pamięcią w te nieprzyjemne lata. Czy były w twojej klasie osoby, które nie chodziły na żadne korepetycje? Ciężko takie znaleźć, prawda? Tak zwane „korki” miał prawie każdy. Teoretycznie do matury powinny każdą średnio zdolną uczennicę przygotować trzy lata liceum, względnie cztery technikum. Chodzisz na lekcje, zaliczasz klasówki, odrabiasz prace domowe, przed maturą ogólną powtórka i zdajesz. Proste? Tak, ale nie w Polsce.

Korepetycje nie są już deską ratunku w sytuacji, gdy mamy trudności ze zrozumieniem określonego tematu bądź narobiło nam się zaległości. „Korki z angola” to już default settings, na dodatkową matkę zapewne latało pół waszej klasy, zdanie matury z chemii czy biologii bez korepetycji to nie lada wyczyn, ba! nawet z polskiego korki bywają, no bo przecież trzeba właściwie zinterpretować wiersz. Co w tym złego, zapytacie? Ano to, że po to chodzę do tej budy, by mnie ta buda do

egzaminu przygotowała. Mogłabym tu pójść o krok dalej i postulować przygotowanie przez szkołę do dorosłego życia, ale aż tak śmiałych, w obecnym systemie nierealnych, żądań, nie ma co stawiać.

Nie ma nic złego w dodatkowych zajęciach jako takich. Drugi język obcy, kółka zainteresowań – proszę bardzo. Jednak dlaczego przerzuca się na ucznia, a w zasadzie jego rodziców, koszty niedopełniania obowiązków przez szkołę? Efekt oczywisty: osoby z mniej zamożnych domów – o ile nie mają naprawdę dobrych, zaangażowanych nauczycieli – zdają gorzej. A niestety system mamy taki, że jeden kiepsko zdany egzamin może rzutować na twoje przyszłe życie.

Z drugiej strony, rozumiem też nauczycieli, którym się po prostu nie chce. O ile jeszcze w gimnazjach (tak, wiem, jestem dinozaurem) nauczanie było faktycznie ogólne, o tyle w szkołach średnich, jak wiadomo, niekoniecznie. Często zdarzało się, że nie dawało rady nadążyć z programem nauczania, który wykonany być musiał. I taki, dajmy na to, fizyk, kombinujący jak koń pod górę, by swój mat-fiz otoczyć odpowiednią naukową opieką, siłą rzeczy ma ograniczony zasób energii. Zajęcia z humanem czy biochemem będzie prowadził z mniejszym zaangażowaniem. To tylko przykład, drodzy fizycy, proszę nie rzucać kamieniami.

Protest z wykrzyknikiem nie wziął się znikąd, nauczycieli wynagradza się zdecydowanie za nisko w stosunku do roli, jaką pełnią w społeczeństwie. Do tego rozliczani są nie z wartości, jakie przekazują młodzieży, nie z atrakcyjności zajęć, nie z budzenia w uczniach pasji do nauki, a z wyników tych nieszczęsnych egzaminów. Pozwolę sobie zacytować, dosłownie, moją nauczycielkę matematyki: „Najważniejszy jest dla mnie uczeń i jego sprawy. Pamiętajcie, że to wy jesteście najważniejsi. Dlatego uczcie się starannie, inaczej nie dopuszczę was do matury, byście mi nie narobili wstydu”.

Zero tolerancji dla przemocy w szkole?

Nierówności zaczynają się jednak dużo wcześniej.

W czasach, kiedy ja zdobywałam wykształcenie podstawowe, szkoła była droga. Co z tego, że samo uczęszczanie do szkoły jest bezpłatne? Rodzice musieli inwestować w: podręczniki, zeszyty, ćwiczeniówki, kredki, farbki, bloki rysunkowe, bloki techniczne, odpowiedniej miękkości ołówki na technikę, papier milimetrowy, flet, zeszyt do nut, specjalne buty i odpowiedniego koloru strój na WF, plecak, piórnik, worek, rzutkę na papier ksero dla nauczyciela, arkusze maturalne, składki klasowe, składki na Radę Rodziców et cetera. Biada ci, jeśli nie zmieściłeś się w progu dochodowym i byłeś zbyt bogaty, by otrzymać dofinansowanie, jednak zbyt biedny, by ot tak lekką ręką wszystko to zakupić.

W takiej Danii, na przykład, a nawet w o wiele biedniejszej Grecji wystarczy dać dziecku plecak, by było gotowe do szkoły. Wszystko inne jest zapewnione. Polska? Zapomnij. Płać. Nie jest oczywiście winą nauczycieli, że wydatki państwa na edukację są, jakie są. Inna sprawa, że niektórzy z nich wcale nie ułatwiają biedniejszym uczniom sytuacji. Wuefmen żądający stroju w określonym kolorze, plastyczka podkreślająca, że na następne zajęcia przynieść należy CAŁY blok rysunkowy i NOWE, KOMPLETNE pudełko kredek (jakby luźna kartka przyniesiona w teczce i kredki z różnych kompletów nie pełniły tej samej roli), anglista upierający się, że ma być nowe repetytorium, a nie ksero... Niby drobiazgi, ale złóż to do kupy.

W trzeciej chyba czy czwartej klasie podstawówki pożarłam się o coś z koleżanką z klasy. Kiedy tej zabrakło argumentów, wytoczyła najcięższe, swoim zdaniem, armaty: a ty nosisz ten sam plecak już od dwóch lat! „Borze szumiący, jaka ta dziewczyna jest głuuuupiaaaaa” – pomyślałam wówczas. Jakie to ma niby znaczenie? Gdyby jednak taka odzywka trafiła na osobę

wrażliwą, a do tego biedną, która nosi ten sam plecak nie dwa lata, a przez całą podstawówkę, bo nie ma alternatywy?

Kilka lat temu w niektórych szkołach miały miejsce sytuacje skandaliczne: dzieci z obiadami opłaconymi przez MOPS jadły na kartonowych tackach albo zamiast kotleta dostawały parówkę. Trudno o bardziej rzucający się w oczy przykład stygmatyzacji. Ale to, rzecz jasna, nie wszystko: widać, kto ma nowy podręcznik z aktualnymi zadaniami, a kto „lata i spisuje”; widać, kto na każde zajęcia WF ma nową koszulkę, a kto na okrągło pierze i przynosi jedną, widać, w jakim stanie są nasze szkolne kapcie i przybory do plastyki; kto dojeżdża na pierwszą lekcję spóźnionym pakaesem, a kogo rodzice przywożą lśniącym SUV-em.

Przemoc w szkole istnieje – to niezaprzeczalny fakt. Jej „przyczyną” może być wszystko. Nauczyciele nie zawsze potrafią na tę przemoc właściwie reagować i jeśli dziecko od najmłodszych lat pada jej ofiarą, to bez mądrej pomocy z roli ofiary nie wyjdzie. Brak reakcji na przemoc również jest reprodukowaniem nierówności – dziecko pójdzie w dalsze lata z etykietką dziwadła. I wszelkie wysiłki, by tę etykietkę odkleić, będą poczytywane jako próby rozpaczliwe, nieudolne, pogarszające jedynie sytuację kozła ofiarnego. Tak mówi psychospołeczne zjawisko znane jako „efekt potwierdzenia”, jak również badania z zakresu dziedziny zwanej socjometrią.

Wspomniana powyżej nauczycielka opowiedziała mi o funkcjonującej jeszcze nieoficjalnej praktyce „klas dobieranych”. W moich rodzinnych Kozienicach wyglądało tak, że „klasa dobierana” tworzona była na podstawie statusu społecznego rodziców. Często to oni sami, korzystając ze swojej pozycji, prosili panią dyrektor o przydzielenie ich latorośli pod konkretne wychowawstwo. Trafiali tam potomkowie wielopokoleniowej inteligencji, dzieci bogatych rodziców oraz latorośle liczących się urzędników. Oficjalnie nikt o tym nie mówił, ale „dyrka” wiedziała, kto jest kim i w prywatnym kajeciku komponowała skład takowych klas, jeszcze zanim

ogłoszono formalną listę uczniów. Ich wychowawcami zostawali nauczyciele z dłuższym stażem, dobrą opinią bądź cieszący się – niekiedy przejściową – sympatią kierownictwa szkoły. Klasa „dobierana” miała być łatwiejsza w prowadzeniu. Moja rozmówczyni po pewnym czasie nauczania w podstawówce również dostała taką „dobieraną klasę”, zaś jej koleżanka po fachu, klasę najzwyczajniejszą w świecie. Różnice widać było gołym okiem – dzieci z tej drugiej klasy były nie tylko niższe, gorzej odżywione, inaczej ubrane, poruszające się z mniejszą pewnością siebie. Te dzieci nie znały bajek, bo nikt im nie czytał. Kilkanaście lat temu!

Praca u podstaw

Przygotowując niniejszy artykuł, miałam przyjemność odbyć rozmowę z przedstawicielką grupy rodziców, planujących stworzyć własną szkołę. Jest to osoba zajmująca się zawodowo art.-terapią z elementami pedagogiki. Bada wpływ twórczości na rozwój i naukę. Ponieważ wyżej wymieniona szkoła jest w fazie projektowania, zarówno szczegółowe zasady jej działania, jak i personalia mojej rozmówczyni pozostaną nieujawnione. Obie liczymy jednak na to, że już w przyszłym roku szkolnym napiszę entuzjastyczny tekst o utworzeniu szkoły bez ocen i stygmatyzacji, za to z uwzględnianiem potrzeb uczniów. Moja rozmówczyni podała mi za to wiele ciekawych i niekiedy zaskakujących informacji, które zainspirowały ją i jej przyjaciół do pracy nad projektem.

Nieszczęśliwi uczniowie

Prowadzone były badania, na ile procent polskie dzieci lubią szkołę. Nie lubią.

Dzieci są bardzo ciekawe świata, chłoną wiedzę jak gąbka. Wszystko chcą poznać, dotknąć, posmakować, rozłożyć na czynniki pierwsze i złożyć z powrotem. Co my im fundujemy? Zapędzanie do ławek i klepanie wykładu przez 45 minut.

Neurodydaktyka wskazuje wyraźnie, że stosowanie biernego przekazu nie jest skuteczną metodą nauczania. Uczymy się przez relacje, emocje, poznawanie sensu zjawiska. Z perspektywy historii ludzkości to właśnie dzisiejsza szkoła jest eksperymentem epoki industrialnej. Skąd pomysł, że lekcje trwają po 45 minut i są sztywno od siebie oddzielone dzwonkami? Ano, z fabryk – tak właśnie dzieliły się okresy pracy i odpoczynku, co zsynchronizowano z czasem trwania lekcji w przyzakładowych szkołach. Skąd pomysł, by lekcje zaczynały się tak wcześnie rano? Też z fabryki! Oceny? Toż to niemalże jak określenie wydajności siły roboczej. Świat poszedł do przodu, a szkoła stoi w miejscu.

Nic więc dziwnego, że 70 proc. uczniów jest dotkniętych wypaleniem szkolnym. Wiele dzieci i nastolatków czuje się osamotnionych, niezrozumianych, ma niskie poczucie własnej wartości. Wiele razy trąbiono, że polscy gimnazjaliści otrzymują wysokie wyniki w testach PISA. OK, to dobrze. Problem w tym, że gimnazja zlikwidowano (zresztą w sposób nieprzemyślany i nagły), a nasi uczniowie mieli, owszem, dobre wyniki w przedmiotach typowo szkolnych. Samodzielne i kreatywne podejście do rozwiązywania problemów wypadało znacznie gorzej.

Szkoła zabija

Mam nadzieję, że nie zostanie mi poczytane za wyżalanie się stwierdzenie prostego faktu, że szkoła pomalutku mordowała moją kreatywność. O ile w wieku lat trzynastu, czternastu byłam żądną wiedzy, nowych doświadczeń i samorozwoju, o tyle zbliżając się do pełnoletności miałam dość i bumelowałam, ile wlezie. Zwyczajnie z roku na rok chciało mi się coraz mniej. Mniej więcej od drugiej klasy ogólniaka odmieniane było przez wszystkie przypadki słowo „matura”. Było dużo, jak ja to zwałam, „dupogodzin”, bo nawet, jak było zastępstwo albo nauczycielowi nie chciało się prowadzić lekcji, do domu nie wolno było iść. Bo są za nas odpowiedzialni. Ciekawostka – w

krajach skandynawskich dziecko odpowiada za siebie stosownie do wieku i jeśli, na przykład, nie posłucha wychowawcy i zrobi sobie krzywdę, na placu zabaw, to już jego problem.

Córka mojej rozmówczyni jako kilkulatka lubiła bawić się samochodzikami. Niestety, kiedy mała poszła do przedszkola, okazało się, że samochodzikami bawią się jedynie chłopcy. Zanim trafiła do grupy przedszkolnej, bawiła się zarówno z dziewczynkami, jak i z chłopcami, używając takich zabawek, jakich miała ochotę. W przedszkolu nauczyła się nieświadomie przekazywanej segregacji płciowej. I jak tu wywalczyć pełną równość, gdy od dziecka faszeruje nas się tym przekazem? Ciężko jest nazwać i wykorzenić coś, co sączy się nam podprogowo od urodzenia. A już zwłaszcza nie można tego wymagać od małych dzieci!

Matematyka, królowa nauk... Większość bardzo źle wspomina ten przedmiot i żałuje, że musiało go zdawać na maturze. Matematyczne myślenie jest w życiu bardzo przydatne i wcale nie jest tak, że jakiś niewielki procent społeczeństwa ma umysł ścisły. Badania pokazują, że około połowa przedszkolaków ma zadatki zdolności do matematyki, natomiast w szkole one zanikają. Tymczasem matma może być naprawdę ciekawa i wciągająca niczym pasjonujące łamigłówki! Niestety często zdarza się, że tego przedmiotu uczą osoby nie do końca kompetentne. To znaczy – kompetentne z punktu widzenia posiadanych informacji. Tacy nauczyciele mogą mieć oszałamiającą wiedzę akademicką, nie są natomiast w stanie tej wiedzy przekazać w sposób całościowy, nauczyć matematycznego myślenia i zasad logiki.

Język polski? Wspaniale, można podyskutować o wrażeniach, jakie wywarła na nas najnowsza powieść ulubionego pisarza; wyrecytować wiersz i napawać się jego emocjami, omówić zmiany zachodzące w języku i wpływ używanego języka na postrzeganie rzeczywistości! Dobrze, ale to na kółku polonistycznym. Teraz jest lekcja, masz tu arkusz maturalny i rozwiązuj. Słynne „co poeta miał na myśli” i pytania o kolor majtek Zosi podczas

nocy poślubnej mogą skutecznie zabić przyjemność z lektury.

Chemia, biologia, fizyka, historia? W większości faszerowanie uczniów suchymi faktami i najróżniejszymi szczegółami, bez szerszego zrozumienia danych zjawisk. Szkoła- zdaniem mojej rozmówczynie – skupia się na uczeniu umiejętności akademickich, celem jest wypchnięcie jak największego odsetka absolwentów na studia. Zaś dogłębne badanie zjawisk, umiejętność zdobywania informacji, umiejętności społeczne i techniczne – leżą i kwiczą.

Dobrych, zaangażowanych i umiejących przekazać wiedzę nauczycieli jest jak na lekarstwo. Nierzadko ograniczają ich wymogi dyrekcji, ogólna presja społeczna bądź naciski ze strony innych nauczycieli, alienacja i ciągłe „pole bitwy” na linii nauczyciele-uczniowie-rodzice. Nie ma społeczności, wspólności, relacji – jest umacnianie statusu quo.

Może być inaczej

Finlandia również przeszła stosunkowo niedawno reformy edukacji. Tak mówi moja rozmówczynie. Zwraca także uwagę na fakt, że były to reformy przemyślane, wprowadzane stopniowo, miarowo, etapami. Obecnie ten kraj ma jeden z najlepszych systemów edukacji na świecie. Są niewielkie klasy, bezpłatne pomoce naukowe, brak ocen i egzaminów (do 16 roku życia), nastawienie na rozwój zainteresowań i indywidualnych umiejętności. Nauczyciele są dobrze opłacani i szanowani, nie rozlicza się ich na każdym kroku z wypełniania podstawy programowej – ważniejsze jest, jakie mają relacje z dziećmi i jak uczą. A co jest bardzo istotne i w Polsce nie do pomyślenia – płatne korepetycje są zakazane prawnie. Finowie wychodzą z założenia, że szkoła ma obowiązek udzielić uczniowi wszelkiej pomocy, jakiej potrzebuje w zrozumieniu danego zagadnienia. Dzięki temu każde dziecko ma jednakowy dostęp do wiedzy.

Najśmieszniejsze jest to, że i w Polsce można – zgodnie z

prawem! – stworzyć szkołę na podobnych zasadach. Jak? Co ciekawe, szlaki przetarli... katolicy. To oni walczyli zaciekle o możliwość domowej edukacji swoich latorośli, by trzymać je z dala od zepsucia współczesnego świata. Jakiegokolwiek nie byłyby ich motywacje, dzięki nim złagodzone przepisy i tworzenie nietypowych szkół jest łatwiejsze. Jak?

Nie każdy wie, że tak naprawdę szkoła nie ma obowiązku wystawiania ocen w skali numerycznej. O sposobie oceniania decydują nauczyciele i nie ma ono na celu nagradzania bądź karania ucznia. Monitorowanie pracy uczniów i udzielanie informacji o postępach edukacyjnych może odbywać się w dowolny sposób, czyli kartkówki i odpytywanie przy tablicy nie są wcale konieczne, podobnie jak zadania domowe. Program nauczania może być autorski i niekoniecznie musi być nastawiony na wyniki. Wymagane jest zrealizowane podstawy programowej, ale nie oznacza to konieczności znania na pamięć szczegółowych danych. Opcjonalne są także dzwonki, czterdziestopięciominutowe odcinki lekcyjne, nauczanie w jednolitych grupach wiekowych, siedzenie w ławkach, używanie konkretnych podręczników czy kart pracy. Lekcje można by było rozpoczynać o ludzkiej porze (znaczy – dostosowanej do naturalnego rytmu dobowego dzieci i młodzieży) bez konieczności zostawiania w szkole do późna. Jak napisałam powyżej, trzeba by było odejść od „odbębniania” lekcji trybem 45-10-45 i lepiej wykorzystywać czas.

A, i jeszcze jedno! Zwykło się mówić, że program lekcyjny jest przeładowany. W wielu szkołach tak to właśnie wygląda, jednak, jak podkreśla moja rozmówczyni, sama podstawa programowa nie jest wcale tak „napakowana”, jak się wydaje! A dlaczego się taka wydaje, czemu uczeń ma tyle na głowie – patrz powyżej. Tak być nie musi.

Moja rozmówczyni zwraca uwagę, że pomału idą zmiany. Co prawda póki co na małą skalę, ale pojawia się trend tzw. mikroschoolingu, coraz więcej mówi się o działaniu ludzkiego mózgu i skutecznych sposobach przekazywania wiedzy. Rodzice

dostrzegają, że czerwony pasek, matura i studia niekoniecznie zapewnią dzieciom lepszą pozycję w świecie.

Autorstwo: Joanna Miśkiewicz

Źródło: Strajk.eu